

ALBATROS

# ZATOKA FRANCUZA

Daphne  
du Maurier

Awanturniczy romans autorki słynnej *Rebeki*.  
Powieść o kobiecie, która zapragnęła wolności.

Tytuł oryginału:  
FRENCHMAN'S CREEK

Copyright © The Estate of Daphne du Maurier 1941  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2023

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Ilustracje na okładce: pingebat/Shutterstock (*ramka*); dgim-studio/Freepik (*mapa*)

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



# 1

Nadciągający ze wschodu wiatr mąci i burzy lśniące wody rzeki Helford, które biją gniewnie o piaszczyste brzegi. W porze przypływu morze wdziera się za przybrzeżną łączę, a wtedy brodźce odlatują w głąb lądu, aż na błotniste równiny, muskając skrzydłami powierzchnię wody i nawołując się wzajemnie. Pozostają tylko mewy, które krzyczą i zataczają kręgi nad spienionymi falami. Od czasu do czasu nurkują, szukając pożywienia, a ich szare pióra lśnią słonym pyłem wodnym.

Wielkie bałwany, które nadpływają zza Lizard Point od strony kanału La Manche, pędzą przed sobą fale powstające u ujścia rzeki, tam zaś, mieszając się ze spiętrzoną wodą z pełnego morza, dociera brązowy nurt, zasilony ostatnimi deszczami, słonawy od błota, niosący martwe gałązki, słomę i dziwne zapomniane przedmioty, przedwcześnie opadłe liście, młode ptaki i pęki kwiatów.

Otwarta reda jest pusta, ponieważ gdy wieje wschodni wiatr, trudno tu kotwiczyć, i gdyby nie tych kilka domów, stojących tu i tam nad przystanią Helfordu, i skupisko bungalowów przy

Port Navas, rzeka wyglądałaby tak samo jak w zapomnianym już stuleciu, w okresie, po którym pozostało niewiele wspomnień.

W tamtych czasach o urodzie tego miejsca stanowiły wzgórza i doliny; nie było tu budynków szpecących surowe pola i klify ani toczonych kominów, które wystawałyby zza wysokich lasów. Wioska Helford liczyła zaledwie kilka chat i nie miały one wpływu na życie rzeki, będącej królestwem ptaków – kulików, brodziec, nurzyków i maskonurów. Nie przyływały tu, tak jak dzisiaj, żadne jachty niesione morskimi prądami, a ten obszar wód, gdzie między Constantine a Gweek rzeka się rozwidła, pozostawał spokojny i niezmacony.

Rzekę mało kto wtedy znał, z wyjątkiem kilku marynarzy, którzy znajdowali na niej schronienie, kiedy południowo-zachodnie sztormy zapędzały ich do brzegu, spychając z kursu w stronę kanału. Miejsce to wydawało im się surowe i odludne, trochę niepokojące z powodu panującej tu ciszy, i gdy wiatr znowu stawał się dla nich pomyślny, chętnie podnosili kotwicę i płynęli w dalszą drogę. Wioska Helford nie przyciągała marynarzy, którzy przebywali na łądzie, bo jej nieliczni mieszkańcy sprawiali wrażenie tępowych i małomównych, a ktoś, kto przez długi czas był pozbawiony ciepła i kobiet, miał niewielką ochotę zapuszczać się w las albo taplać z brodziecami w błocie, kiedy nadchodził odpływ. Dlatego też nikt nie ściągał nad rzekę, nie przemierzał lasów ani wzgórz i cała senna uroda pełni lata, która nadaje rzece Helford szczególnego uroku, długo pozostawała niedostrzeżona i zupełnie nieznaną.

Dziś w ciszę wdzierają się różne dźwięki. Przyływają i odpływają parowce wycieczkowe, które zostawiają za sobą

na rzece spieniony ślad, żeglarze odwiedzają się nawzajem, a bywa nawet, że ktoś, kto przybył tu na jednodniową wycieczkę, z powodu niewyrobionego wzroku obojętny na ten nadmiar piękna, brodzi po płyciźnie z siatką na krewetki w ręce. Czasami, podskakując w sapiącym samochodziku, pokonuje nierówną błotnistą drogę, która za wioską Helford ostro skręca w prawo, i wraz ze współtowarzyszami podróży pije herbatę w kamiennej kuchni starego budynku na farmie, znanego niegdyś jako Navron House. Do dziś zachował on resztki świetności. Część pierwotnej czworobocznej konstrukcji przetrwała i obecnie zamyka podwórze, a dwa filary, które dawniej osłaniały wejście do domu, teraz porośnięte bluszczem i pokryte mchem, podpierają współczesną stodołę z dachem z blachy falistej.

Kuchnia, w której podróżnik pije herbatę, należała dawniej do sali jadalnej Navron House, a schodki, kończące się na kamiennym murze, prowadziły na galerię. Reszta budynku musiała się rozpaść albo została rozebrana, ponieważ stojący tu obecnie pudełkowaty dom mieszkalny, choć niebrzydki, zupełnie nie przypomina zbudowanego w kształcie litery E Navron House z dawnych rycin, a po zadbanym ogrodzie i parku nie ma dziś śladu.

Podróżnik zjada posiłek i dopija herbatę, z uśmiechem podziwiając otoczenie i nic nie wiedząc o kobiecie, która stała kiedyś w tym miejscu, dawno temu, innego lata, i tak jak on dostrzegła pomiędzy drzewami świetlistą rzekę, uniosła twarz ku niebu i poczuła na niej słoneczne ciepło.

Słyszy on swojskie gospodarskie hałasy, brzęk wiader, porykiwanie bydła, szorstkie głosy farmera i jego syna,

wołających do siebie przez podwórze, pozostaje jednak głuchy na echa tamtych czasów, gdy pewien człowiek, przytknąwszy stulone dłonie do ust, zagwizdał cicho spośród ciemnego pasa drzew i odpowiedziała mu szczupła zgarbiona postać, kuląca się pod ścianami pogrążonego w ciszy domu, podczas gdy na górze otworzyło się okno i Dona, z lokami opadającymi na twarz, wyteżyła wzrok i słuch, bezgłośnie wygrywając palcami na parapecie jakąś nieokreśloną melodyjkę.

Rzeka płynie, jak płynęła, drzewa wciąż szumią, kołysane letnim wiatrem, w dole na błotnistych płycznach stoją ostrzygojady, poszukując na mieliźnie pożywienia, i pokrzykują kuliki, lecz ludzie z tamtych czasów, mężczyźni i kobiety, popadli w niepamięć, ich nagrobki porosły mchem, a nazwisk nie da się odczytać.

Dziś bydło tratuje ziemię w miejscu, w którym kiedyś wznosił się ganek Navron House, tam gdzie pewnego razu z wybiciem północy stanął mężczyzna z dobytą szpadą w ręce i uśmiechnął się w słabym blasku świecy.

Wiosną dzieci farmera zbierają nad zatoką pierwiosnki i przebiśniegi, a pod ich zabłoconymi butami pękają martwe gałązki i szeleszczą opadłe ostatniego lata liście, sama zatoka zaś, wezbrana po deszczach w ciągu długiej zimy, wygląda szaro i smutno.

Wprawdzie drzewa wciąż tworzą mroczną gęstwinę aż po sam brzeg, a mech porastający mały pomost, przy którym Dona rozpałała ognisko i patrzyła przez płomienie na swojego kochanka, śmiejąc się do niego, jest zielony i bujny, ale dziś w zatoce nie kotwiczy żaden statek z masztami zawadiacko skierowanymi

ku niebu, nie słycać chrobotu łańcucha w kluzie kotwicznej, powietrza nie przesycą mocna woń tytoniu, nad wodą nie niosą się echem głosu w melodyjnym obcym języku.

Samotny żeglarz, który w letnią noc zostawia swój jacht na otwartej redzie Helfordu i przy akompaniamencie krzyku lelka wyrusza w szalupie na wyprawę po rzece, waha się, dopłynąwszy do wylotu zatoki, ponieważ nawet teraz to miejsce jest spowite aurą tajemnicy, emanuje jakimś czarem. Ponieważ jest tu obcy, zerka przez ramię na swój jacht, bezpiecznie stojący na przedmorszu, i na szerokie wody rzeki, po czym zatrzymuje się, z rękami na wiosłach, bo nagle uświadamia sobie panującą w zatoce, w jej wąskim krętym kanale, głęboką ciszę i czuje – sam nie wiedząc dlaczego – że jest tu intruzem, że przekroczył granicę czasu, do którego nie należy. Zapuszcza się nieco dalej wzdłuż lewego brzegu, a plusk wiosel zanurzających się w wodzie wydaje mu się za głośny i niepokojąco odbija się echem wśród drzew po drugiej stronie, aż wreszcie zatoka się zwęża, drzewa tworzą nad wodą niemal litą ścianę, i wtedy czuje, że pada na niego jakiś urok, dziwny, fascynujący, coś podniecającego, choć nie całkiem zrozumiałego.

Jest tu sam, a przecież... czy to nie szept dochodzi z tej płycizny przy brzegu, czy nie stoi tam jakiś mężczyzna, czy w blasku księżyca nie lśnią klamry przy butach i kord w dłoni i czy to nie kobieta przy jego boku, w płaszczu na ramionach, z ciemnymi lokami założonymi za uszy? Myli się, rzecz jasna, to tylko cienie drzew, te szepty zaś to nic innego jak szelest liści i szmer ptaka, który drgnął we śnie, ale nagle żeglarz czuje się tu nie na miejscu, jest nawet trochę przestraszony, ma wrażenie, że nie

powinien płynąć dalej, że koniec zatoki naprzeciwko to miejsce zakazane i nie wolno się tam zapuszczać. Zawraca więc, kierując dziób szalupy ku redzie, i gdy się oddala, szepty i inne dźwięki stają się w jego uszach wyraźniejsze, dobiega go niosący się w ciemności tupot nóg, wołanie, okrzyk, daleki stłumiony gwizd i dziwna melodyjna piosenka. Wytęża oczy, żeby przeniknąć mrok, i nakładające się na siebie cienie wyraźnie przybierają przed nim postać statku. Zgrabny i piękny, zrodzony w innym czasie, malowany statek widmo. Wówczas serce zaczyna żeglarzowi walić w piersi, więc szybciej porusza wiosłami i mała łódź szybko przecina ciemne wody, umykając przed tym urokiem, bo to, co zobaczył, jest nie z jego świata, a to, co słyszał, wykracza poza jego zdolność pojmowania.

Wreszcie znowu staje bezpiecznie na pokładzie swojego statku i gdy po raz ostatni spogląda ku wejściu do zatoki, widzi, jak nad wysokimi drzewami wschodzi księżyc w pełni, jasny i świetlisty, w całej swojej letniej okazałości, ukazując piękno tego zakątka.

Z paproci porastających wzgórze dochodzi odgłos lelka, ryba z cichym pluskiem wpada z powrotem do wody i kiedy statek powoli się obraca, by wyjść naprzeciw fali przyływu, zatoka znika z widoku.

Żeglarz schodzi pod pokład, do przytulnej, bezpiecznej kajuty, i poszperawszy w książkach, znajduje wreszcie to, czego szukał. To mapa Kornwalii, źle narysowana i nieprecyzyjna, którą w wolnej chwili kupił w księgarni w Truro. Pergamin jest wyblakły i pożółkły, oznaczenia niewyraźne. Pisownia pochodzi z innego wieku. Rzeka Helford jest zaznaczona dość dokładnie, tak samo jak wioski Constantine i Gweek. On jednak sunie wzrokiem



dalej, tam gdzie widnieje odgałęzienie rzeki, jej krótka, wąska, wijąca się odnoga, która płynie na zachód, ku dolinie. W tym miejscu ktoś cienkim, już zblakłym pismem nagryzmołił nazwę:

### *Zatoka Francuza*

Żeglarz przez chwilę duma nad nią, a później wzrusza ramionami i zwija mapę. Wkrótce już śpi. Kotwicowisko jest spokojne. Nad wodą nie wieje wiatr, lelki milczą. Nawiedza go sen – i gdy statek unosi się na wodach przypływu, a rzeka lśni w blasku księżyca, dochodzą do niego ciche szepty i przeszłość staje się teraźniejszością.

Spod kurzu i pajęczyn wyłania się zapomniana epoka i żeglarz wkracza w inny czas. Słyszy tętent konia galopującego aleją prowadzącą do Navron House, widzi, jak otwierają się wielkie drzwi i na okrytego płaszczem jeźdźca spogląda służący z przestraszoną bladą twarzą. Dona, w starej sukni, z szalem na głowie, staje u szczytu schodów, podczas gdy na dole, w cichej ukrytej zatoce, po pokładzie statku chodzi mężczyzna, ręce ma założone za plecami, a na ustach błąka mu się dziwny tajemniczy uśmiech. Kuchnia w domu na farmie znowu jest jadalnią i ktoś czai się na schodach z nożem w ręce. Z góry dobiega nagle płacz przestraszonego dziecka i na czającą się postać spada ze ściany galerii tarcza. A wtedy dwa king charles spaniele, uperfumowane i ufryzowane, z głośnym szczekaniem podbiegają do ciała na podłodze.

W przeddzień letniego przesilenia płonie ognisko na pustym pomoście, mężczyzna i kobieta patrzą na siebie z uśmiechem,

porozumiewawczo, złączeni tajemnicą, i o świcie statek odbija od brzegu, niesiony falą. Słońce świeci jasno na czystym błękitnym niebie i słychać krzyk mew.

Wszystkie szepty i echa z przeszłości nakładają się na siebie w głowie śpiącego, a on jednoczy się z nimi, staje się ich częścią – częścią morza, statku, murów Navron House, powozu, który podskakując, toczy się po wyboistych drogach Kornwalii, a nawet dawno zapomnianego Londynu, sztucznego, malowanego, gdzie chłopcy świecili pochodniami, a podchmieleni galanci śmiali się na rogach zabłoconych brukowanych ulic. Widzi Harry’ego w jego satynowym kaftanie, ze spanielami u stóp, jak wstępuje do sypialni Dony w chwili, gdy ona wkłada kolczyki z rubinami. Widzi Williama z jego zasznurowanymi ustami i nieprzeniknioną drobną twarzą. I wreszcie widzi *La Mouette* na kotwicy w wąskiej, wijącej się odnodze rzeki, widzi drzewa na brzegu, słyszy krzyk czapli i kulika, i śpiąc na wznak, przeżywa szaleństwo tamtej pełni lata, gdy zatoka najpierw była kryjówką, a potem stała się symbolem ucieczki.

## 2

Zegar kościelny wybił półgodzinę, kiedy do Launceston wjechał z turkotem powóz i zatrzymał się przed gospodą. Stangret chrząknął, a wtedy jego towarzysz zeskokczył na ziemię i pobiegł do przodu, by chwycić konie za uzdy. Woźnica wetknął dwa palce do ust i zagwizdał. Chwilę później z gospody wyszedł na podwórze stajenny, przecierając ze zdumienia oczy.

– Nie ma czasu do stracenia! Szybko przynieś wody i paszę dla koni! – zawołał stangret.

Wstał z kozła, przeciągnął się i potoczył wzrokiem dookoła, tymczasem jego towarzysz zatupał zdrętwiałymi nogami i uśmiechnął się do niego ze zrozumieniem.

– Jeszcze nie połamały karków, chociaż tyle dobrego – powiedział. – Może jednak są warte tych wszystkich gwinej, które dał za nie sir Harry.

Stangret wzruszył ramionami. Był zbyt zmęczony i zbyt zeszywniały, by się spierać. Drogi były istnym przekleństwem i gdyby koła się połamały, a konie padły z wysiłku, to jego by obwiniono, nie tamtego. Żeby mogli jechać spokojnie, powinni

mieć na tę podróż z tydzień, ale nie, zamiast tego był diabelny pośpiech, jazda na złamanie karku, nieszczędzająca ani człowieka, ani zwierzęcia, a wszystko z powodu złego humoru jaśnie pani. Tak czy owak, dzięki Bogu, przynajmniej na chwilę usnęła i w powozie panował spokój. Jednak nadzieje, że to potrwa, okazały się płonne, bo gdy tylko stajenny wrócił z wiadrami wody w obu rękach i konie chciwie zaczęły pić, okno powozu gwałtownie się otworzyło i wychyliła się z niego pani, bynajmniej nie zaspana, z szeroko otwartymi, przytomnymi oczami, a jej zimny, władczy głos, który w ostatnich dniach zaczął napawać stangreta strachem, zabrzmiał tak kategorycznie jak zawsze.

– Skąd, do licha, ten postój? – zapytała. – Czy nie zatrzymałeś się trzy godziny temu, by napić konie?

Stangret cicho pomodlił się o cierpliwość, po czym zeskoczył z kozła i podszedł do otwartego okna powozu.

– Konie nie nawykły do takiego tempa, milady – odparł. – Jaśnie pani zapomniała, że w ciągu ostatnich dwóch dni pokonałyśmy prawie dwieście mil... poza tym te drogi nie są przystosowane dla tak szlachetnych zwierząt jak konie milady.

– Co za niedorzeczność – padła odpowiedź. – Im szlachetniejsza ich rasa, tym większa wytrzymałość. W przyszłości zatrzymasz konie tylko wtedy, gdy wydam takie polecenie. Zapłać temu człowiekowi, ile mu się należy, i ruszajmy w drogę.

– Dobrze, milady. – Stangret, z zaciśniętymi w wyrazie uporu i znużenia ustami, odwrócił się, skinął do swojego towarzysza i mamrocząc pod nosem, z powrotem wdrapał się na kozioł.

Wiadra z wodą zostały zabrane, głupawy stajenny nierozumiejąco rozdziawił usta i konie, parszkając, ponownie

uderzyły kopytami w ziemię. Z ich rozgrzanych ciał biła para, ale ruszyli dalej i opuściwszy brukowany plac i senne miasteczko, znowu znaleźli się na nierównej, wyboistej drodze.

Dona, z brodą wspartą na dłoni, smętnie patrzyła w okno. Dzieci wciąż spały, to przynajmniej było jakąś pociechą, i nawet Prue, ich niańka, z otwartymi ustami i zarumienioną twarzą, nie poruszyła się od dwóch godzin albo i dłużej. Biedna Henrietta pochorowała się już cztery razy i teraz leżała blada i słaba, mała replika Harry'ego, opierając złotą główkę na ramieniu niani. James ani drgnął; spał głębokim snem, jak to niemowlę, pewnie obudzi się dopiero, gdy dotrą do celu. A tam – jakież czeka ich zawód! Niechybnie wilgotne łóżka, pozamykane okiennice, stęchły zapach w dusznych nieużywanych pokojach, krzywe miny zaskoczonych, niezadowolonych służących. Wszystko to zaś z powodu impulsu, pod wpływem nagłej fali niechęci do swojego jałowego życia, do tych niekończących się obiadów, kolacji, przyjęć z grą w karty, głupich żartów godnych czeladnika na wakacjach, do niemądrego flirtu z Rockinghamem i do samego Harry'ego, tak leniwego, tak zgodnego, zbyt chętnie odgrywającego rolę idealnego, tolerancyjnego męża, z jego ziewaniem przed północą i spokojnym sennym uwielbieniem. To poczucie jałowości narastało w niej od wielu miesięcy, doskwierając jak bolący ząb, który od czasu do czasu daje o sobie znać, lecz dopiero w piątkowy wieczór jej odraza do siebie oraz zniecierpliwienie osiągnęły szczyt i właśnie przez ów piątkowy wieczór telepała się teraz tym przeklętym powozem, wyruszywszy w żalospną podróż do domu, który widziała tylko raz w życiu i o którym nic nie wiedziała, i w napadzie złości i rozdrażnienia wzięwszy ze sobą

dwoje zdziwionych dzieci z ich niechętną niańką.

Oczywiście uległa impulsowi, jak to miała w zwyczaju zawsze, przez całe życie, idąc za podszeptem, sugestią, które pojawiały się nie wiadomo skąd i później z niej szydziły. Pod wpływem impulsu wyszła za mąż za Harry'ego – bo spodobało jej się zabawne rozleniwienie w jego śmiechu i myślała, że wyraz jego niebieskich oczu oznacza więcej, niż można by sądzić – a teraz zrozumiała, że jednak... lecz było to coś, do czego nie należało się przyznawać, nawet przed sobą, zresztą jaki z tego pożytek, co się stało, to się nie odstanie, i oto była tu teraz, z dwójką swoich wspaniałych dzieci, no i za miesiąc skończy trzydzieści lat.

Nie, to nie biedny Harry był winny ani nawet nie to pozbawione sensu życie, jakie wiedli, głupie eskapady, znajomi, duszna atmosfera zbyt wczesnego lata, która spowiła pokryty błotem i kurzem Londyn, ciche rozmowy w teatrze, cała ta gadanina, głupstwa, sprośności, które Rockingham szeptał jej do ucha. To ona sama ponosiła winę.

Zbyt długo grała niegodną siebie rolę. Zgodziła się być Doną, jakiej żądał świat – powierzchowną piękną istotą, która chodzi, mówi i śmieje się, przyjmując komplementy i podziw ze wzruszeniem ramion jako naturalny hołd dla swojej urody, istotą nierozważną, wyniosłą, celowo obojętną, podczas gdy inna Dona, dziwna, Dona widmo, spoglądała na nią z ciemnego lustra i się wstydziła.

Ta druga Dona wiedziała, że życie nie musi być przepojone goryczą, puste ani konwencjonalne, że może być intensywne, nieskrępowane – że oznacza cierpienie, miłość, niebezpieczeństwo i słodycz, a nawet więcej, o wiele więcej. Tak, tego piątkowego

wieczoru ogarnęła ją taka pogarda wobec siebie, że jeszcze teraz, siedząc w powozie, gdy łagodne wiejskie powietrze owiewało jej twarz, mogła przywołać w pamięci smród dochodzący z londyńskich rynsztoków, woń bezwładu i zgnilizny, łączące się w niewyjaśniony sposób z ciężkim, przytłaczającym niebem, z ziewaniem Harry'ego, kiedy otrzepywał poję kaftana, z ironicznym uśmiechem Rockinghama – jakby to wszystko uosabiało zblazowany umierający świat, od którego musiała się uwolnić, uciec z niego, zanim runą na nią niebiosy i znajdzie się pod nimi uwięziona. Przypomniał jej się niewidomy handlarz na rogu ulicy, nadstawiający ucha, by pochwycić brzęk rzucanej monety, i czeladnik z Haymarket, który chodził z tacą na głowie, zachwalając swój towar skrzekliwym, pełnym rozpaczy głosem, to, jak potknął się o jakieś śmieci w rynsztoku i upadł, a zawartość tacy rozsypała się po zakurzonym bruku. A potem – o niebiosy! – ten tłoczny teatr, zapach perfum bijący z rozgrzanych ciał, głupie śmiechy i gwar, towarzystwo w loży królewskiej, z samym królem, niecierpliwący się tłum na tanich miejscach, który tupał, domagając się głośno, by zacząć już przedstawienie, i rzucał na scenę skórki pomarańczy. Harry, jak zwykle śmiejący się bez powodu, nie mógł zrozumieć sztuki, a może był zbyt zamroczony, gdyż za dużo wypił, nim wyszli. Tak czy owak, zaczął chrapać w fotelu i Rockingham, korzystając z okazji, by się zabawić, dotknął jej nogą i zaczął szeptać jej do ucha. To jego nieznośne zuchwalstwo, poczucie władzy, poufalość, a wszystko stąd, że kiedyś z nudów pozwoliła mu się pocałować, bo wieczór był piękny. I wreszcie kolacja Pod Łabędziem, czego coraz bardziej, gdy straciło powab nowości, nie znosiła – ponieważ przestało ją

podniecać, że jest jedyną żoną w tłumie kochanek.

Dawniej ją to w pewnym stopniu pociągało: kolacje z Harrym w miejscach, gdzie inni mężowie nie zabierali żon, wydawały jej się zabawne – siedziała ramię w ramię z tymi paniami z miasta i patrzyła, jak przyjaciele Harry’ego najpierw się gorszą, później zaczyna ich to fascynować i wreszcie wpadają w gorączkę, niczym zaciekawieni uczniowie, którzy zapuścili się na zakazany teren. Lecz już nawet wtedy, na samym początku, budził się w niej jakiś wstyd, dziwne poczucie poniżenia, jakby przebrała się na maskaradę i kostium na nią nie pasował.

Pocziwy, ale trochę głupawy śmiech Harry’ego, wyraz niepokoju z domieszką zgorzelenia na twarzy – „Mówi o tobie całe miasto, stałaś się obiektem plotek w gospodach” – nie miał bynajmniej być przyganą i tylko ją irytował. Wolałaby, żeby Harry wpadał w złość, krzyczał na nią, nawet ją obraził – ale on tylko się śmiał, wzruszając przy tym ramionami, i pieścił ją niezdarnie, bez finezji, i wiedziała, że jej szaleństwa go nie dotyczą, że w głębi duszy jest zadowolony, iż mężczyźni plotkują o jego żonie i ją podziwiają, bo przez to zyskiwał w ich oczach.

Powóz podskoczył, wypadając z głębokiej koleiny na drodze, i James poruszył się we śnie. Jego buzia skrzywiła się jak do płaczu, więc Dona podała mu zabawkę, która wysunęła mu się z rąk, a on przytulił ją do ust i znowu zasnął. Przypominał Harry’ego, gdy ten domagał się zapewnień o jej uczuciach, i zaczęła się zastanawiać, dlaczego to, co u synka uznawała za takie miłe i wzruszające, u męża wydawało jej się absurdalne i ją drażniło.

Ubierając się tamtego piątku, wkładając kolczyki z rubinami, które pasowały do naszyjnika, nagle przypomniała sobie, jak



James chwycił naszyjnik i wetknął go sobie do buzi, i myśląc o tym, uśmiechnęła się do siebie, a Harry, który stał obok i strzepywał coś z koronki przy mankietach, zauważył jej uśmiech i potraktował go jak zaproszenie.

– A niech to, Dono, dlaczego patrzysz na mnie takim wzrokiem? Nie idźmy do teatru, do diabła z Rockinghamem, do diabła z całą resztą, dlaczego, do licha, nie zostaniemy w domu?

Biedny Harry: co za próżność, jakie to typowe, że uśmiech, który nie był przeznaczony dla niego, uznał za zachętę.

– Nie bądź śmieszny – odparła.

Odwróciła się od niego, by nie mógł dotknąć jej nagiego ramienia swoimi niezgrabnymi rękami, on zaś od razu zacisnął usta w wyrazie niechęci i uporu, tak dobrze jej znanym, i pojechali na to przedstawienie, tak jak jeździli na inne, a potem na kolację, nie wiadomo który to już raz, pełni urazy do siebie nawzajem, zniecierpliwieni i rozdrażnieni, zanim jeszcze zaczął się wieczór.

Potem Harry przywołał swoje spaniele, Księcia i Księżną, a one zaczęły głośno domagać się przysmaków, wypełniając pokój szczekaniem i skacząc do jego rąk.

– Ej, Książę, ej, Księżno, szukajcie, no dalej! – zawołał i rzucił przysmak przez pokój na jej łóżko, a psy usiłowały na nie wskoczyć, drapiąc pazurami zasłony i przez cały czas przeraźliwie szczekając, aż w końcu Dona, z palcami w uszach, wypadła za drzwi i zbiegła po schodach do czekającego na dole powozu, blada, zziębnięta i zła, by następnie znaleźć się wśród smrodu rozpalonych ulic, pod ciężkim bezbarwnym niebem.

Powóz znowu się zatrząsł i podskoczył w głębokich koleinach wiejskiej drogi, i tym razem poruszyła się niańka – nieszczęsna

Prue, ze swoją tępą, pocziwą twarzą, poważną i noszącą oznaki zmęczenia. Ależ musiała mieć za złe swojej pani ten nagły, niezrozumiały wyjazd – i Dona pomyślała, czy dziewczyna nie zostawiła w Londynie jakiegoś młodego człowieka, który według wszelkiego prawdopodobieństwa nie dochowa jej wierności, ożeni się z inną i biedna Prue będzie miała złamane życie, a to wszystko przez nią, Donę, przez jej kaprysy, fantazje i wściekle zły nastrój. Co Prue będzie porabiać w Navron House? Spacerować z dziećmi tam i z powrotem aleją i po ogrodzie, tęskniąc do ulic Londynu, odległych o setki mil? Czy w Navron są ogrody? Nie pamiętała. To wszystko wydawało się tak dawne, tamta krótka wizyta zaraz po ślubie. Z całą pewnością były tam jakieś drzewa i lśniąca rzeka, wielkie okna w długim pomieszczeniu, lecz całą resztę zapomniała, bo źle się wtedy czuła, była w odmiennym stanie i jej życie ograniczało się do nieustannego polegania na kanapach, nudności i wachania soli trzeźwiących.

Nagle poczuła głód, a powóz właśnie minął sad, z jabłoniąmi w kwiatkach, i zrozumiała, że musi coś zjeść, natychmiast, bez zbędnych ceregieli, tu, przy drodze, na słońcu, wszyscy muszą się pożywić – wystawiła więc głowę przez okno i zawołała do stangreta:

– Zatrzymamy się tu na krótki posiłek! Chodź, pomożesz mi rozłożyć koce pod żywoplotem.

Ten popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Ależ ziemia może być wilgotna, milady się przeziębii.

– Bzdury, Thomas, jestem głodna, wszyscy jesteśmy głodni, musimy się posilić.

Zszedł z kozła, czerwony z zakłopotania, i jego towarzysz,

pokaszlując za przytkniętą do ust ręką, uczynił to samo.

– W Bodmin jest zajazd – ośmielił się jeszcze powiedzieć stangret. – Tam mogłaby milady wygodnie zjeść i odpocząć. Z pewnością byłoby to stosowniejsze. Gdyby ktoś tędy przejeżdżał i zobaczył milady siedzącą przy drodze, to myślę, że sir Harry nie byłby rad...

– Do diabła, Thomas, możesz po prostu wypełniać polecenia?  
– rzuciła jego pani.

Sama otworzyła drzwi powozu i wysiadła na zabłoconą drogę, bezwstydnie unosząc suknię nad kostki. Biedny sir Harry, codziennie musi znosić coś takiego, pomyślał woźnica, a jego pani w niespełna pięć minut zebrała wszystkich na trawie tuż przy drodze; niańka, dopiero co obudzona, mrugała okrągłymi oczami, a dzieci patrzyły ze zdumieniem.

– Napijmy się wszyscy piwa – zarządziła Dona. – Jest w koszu pod siedzeniem. Mam wielką ochotę na piwo. Dobrze, James, ty też możesz skosztować.

I tak oto siedziała, z podwiniętą spódnicą i halkami, ze zsuniętym z głowy kapturem, popijając piwo jak jakaś zebrząca Cyganka, podając je na palcu synkowi do spróbowania i uśmiechając się do stangreta, by mu pokazać, że nie żywi do niego urazy za szybką jazdę i upór.

– Wy obaj też sobie łyknijcie, wystarczy dla każdego – dodała i mężczyźni poczuli się w obowiązku wypić razem nią, choć unikali wzroku niańki.

Ta pomyślała, że cały ten postój jest niestosowny i że wolałaby się znaleźć w przytulnym saloniku w zajezdzie, ze świeżą ciepłą wodą, by mogła umyć dzieciom ręce i buzie.

– Dokąd jedziemy? – spytała Henrietta po raz nie wiadomo który, rozglądając się wokół z niesmakiem i zgarniając fałdy sukienki, by się nie ubłocila. – Czy zbliżamy się już do celu i wkrótce będziemy w domu?

– Wybieramy się do innego domu – odparła Dona. – Nowego domu, o wiele przyjemniejszego. Będziecie mogli swobodnie biegać po lesie i brudzić ubrania, a Prue nie będzie was za to łajać, ponieważ nie będzie to miało znaczenia.

– Nie chcę brudzić sukienek. Chcę wrócić do domu – oznajmiła Henrietta i zaczęły jej drżeć usta.

Popatrzyła na matkę z wyrzutem, po czym się rozplakała – pewnie była zmęczona, to wszystko wydawało jej się dziwaczne, cała ta podróż, siedzenie przy drodze, i brakowało jej codziennej rutyny – a James, do tej pory spokojny i zadowolony, otworzył szeroko buzię i solidarnie przyłączył się do siostry.

– Ojej, moje cukiereczki, moje skarby, jak im się nie podoba ten paskudny rów i kłujący żywopłot! – zawołała Prue, biorąc oboje w ramiona, i ton jej głosu powiedział wszystko jaśnie pani, przyczynie całej tej niewygody, więc Dona, przejęta poczuciem winy, szybko wstała i kopnęła resztki jedzenia.

– No to w drogę, ruszajmy dalej, tylko proszę mi tu nie płakać, na litość boską!

I stała przez chwilę, podczas gdy niańka zapakowała się z dziećmi z powrotem do powozu. Tak, powietrze pachniało kwiatami jabłoni i kolcolistu, a od wrzosowisk w oddali dolatywała woń mchu i torfu – i na pewno skądś całkiem niedaleko, zza tamtych wzgórz, przepojony wilgocią zapach morza.

A co tam łzy dzieci, co tam pretensje Prue czy zaciśnięte usta

woźnicy, co tam Harry i jego zatroskane, smutne niebieskie oczy, kiedy oznajmiła mu o swojej decyzji.

– Do licha, Dono, co ja takiego zrobiłem, co takiego powiedziałem? Czyż nie wiesz, że cię uwielbiam?

Zapomnieć o tym wszystkim, gdyż to jest właśnie wolność – stać tu przez chwilę, z twarzą wystawioną na słońce i wiatr: oto prawdziwe życie, uśmiechać się i być sama.

Próbowała to wytłumaczyć Harry’emu w piątek wieczorem, po tej niemądrej, szalonej eskapadzie do Hampton Court; usiłowała mu wyjaśnić, o co jej chodzi, że ten żaloszny kawał spleatany hrabinie był tylko głupią, źle pojętą rozrywką, sprzeczną z jej prawdziwym stanem ducha; że w rzeczywistości pragnie uciec od siebie, od egzystencji, którą wiedli razem; że doszła do przełomowego punktu w swoim życiu i musi uporać się z tym kryzysem sama.

– Dobrze, jedź do Navron, skoro tego chcesz – rzucił ponuro.  
– Zaraz wyślę wiadomość, by poczyniono przygotowania na twój przyjazd, by otwarto dom, by służba czekała. Lecz nie pojmuję tego. Skąd ten pośpiech, przecież nigdy nie wyrażałaś takiego pragnienia, i dlaczego nie życzysz sobie, bym ci towarzyszył?

– Ponieważ chcę być sama, ponieważ jestem w takim nastroju, że jeśli nie zostanę sama, doprowadzę cię do szału, samą siebie zresztą też – odparła.

– Wciąż nie rozumiem – powiedział.

Zacisnął usta, wzrok miał posępny, więc zdesperowana próbowała odmalować swój stan ducha.

– Czy pamiętasz ptaszarnię mojego ojca? – zaczęła. – W której ptaki były karmione i mogły latać w klatce? Gdy jednak

pewnego dnia wyjęłam z niej makolągwę, ona prosto z moich rąk poleciała ku słońcu?

– I cóż z tego? – zapytał, splatając dłonie za plecami.

– Tak właśnie się czuję. Jak makolągwa, zanim odfrunęła – wyjaśniła.

Już odwrócona, uśmiechnęła się mimowolnie, wbrew swojemu szczeremu wyznaniu, bo Harry wyglądał na ogromnie zdziwionego, beznadziejnie zbitego z tropu, gdy tak patrzył na nią w swojej białej koszuli nocnej; potem wzruszył ramionami – biedaczek, rozumiała go – położył się do łóżka i kierując twarz ku ścianie, rzucił:

– Niech mnie piekło pochłonie, Dono, dlaczego musisz być tak cholernie skomplikowana?

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).